

beyA

Władza

PRZEKŁĘTA KREW

NATALIA MUNIOWSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Dominika Bronk

Korekta: Anna Smutkiewicz

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: beya.pl

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

beya.pl/user/opinie/vallan

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-3554-9

Copyright © Natalia Muniowska 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

PLAYLISTA

- ▶ *Nervous* – The Neighbourhood
- ▶ *Solitude* – M83 (Felsmann + Tiley Reinterpretation)
- ▶ *You Are the Right One* – Sports
- ▶ *The World Retreats* – David O'Dowda
- ▶ *London* – breathe.
- ▶ *Moonlight* – Skycabin
- ▶ *in my prime* – Dominic Donner
- ▶ *FEEL* – Beneld, BURY
- ▶ *Yesterday* – breathe.
- ▶ *Born in the North* – Blue in Tokio
- ▶ *i don't know you anymore* – sombr
- ▶ *Make Me Feel* – Elvis Drew
- ▶ *Sinners* – Ari Abdul, Thomas LaRosa
- ▶ *Stay on the Edge* – SHUNÉ
- ▶ *Shadows* - supwel
- ▶ *Midas* – Skott
- ▶ *You?* – Two Feet



ROZDZIAŁ 1

Alecsey

Niektóre rzeczy po prostu ze sobą nie współgrały. Na przykład książęca godność i pijackie wieczory w wiejskiej karczmie. Zwłaszcza gdy towarzyszył ci kuzyn idiota, który upijał się samym zapachem wina.

Powiedzieć, że Colton miał bardzo słabą głowę, to jak nie powiedzieć nic. Czasami wystarczyły dwa kufle piwa, zaprawione odrobiną bimbru pędzonego przez karczmarza na zapleczu, i już trudno było go zrozumieć, bo zaczynał strasznie bełkotać. Żeby tylko to okazało się najgorsze! Coltonowi, tracącemu zdolność wyraźnego artykułowania myśli, często zbierało się na amory. Jak łatwo się domyślić, nadmierna kochliwość spowodowana nietrzeźwością z reguły przysparzała mojemu kuzynowi kłopotów. Zdarzało się, że wyznawał miłość pierwszej pannie, która nieopatrznie posłała mu uśmiech. Co gorsza, choć był pałacowym chuchrem, nierzadko ochotczy stawał do bitki o jej względy... z jej mężem. Gdyby chociaż ci byli normalnej postury! Niestety Colton miał szczęście do mężów osiłków, którzy mogliby go złamać jak zapalkę.

Wówczas do akcji wkraczałem ja. Nienachalny gabarytem, o raczej pocziwiej facjacie i gotowości zaprowadzenia pokoju, jak na księcia koronnego przystało.

Zdaniem Coltona była to największa zaleta mojego towarzystwa. Mógł robić, co mu się żywnie podobało, i nie ponosić żadnych konsekwencji. Bo przecież nikt nie podniesie ręki na królewskiego syna, który się za nim wstawi, prawda? Zwłaszcza gdy ów syn paraduje z widocznym książęcym sygnetem, na wypadek gdyby ktoś nie rozpoznał jego książęcej twarzy.

– Sam dam ci w pysk, jeśli jeszcze raz będę musiał ratować ci skórę! – warknąłem, gdy o mały włos nie dostałem w głowę od rozjuszonego drwala, który nieco zapomniał się w swoich zamiarach i nawet książęcy autorytet nie ostudził jego zapału do wymierzenia sprawiedliwości.

Czasami zdarzało się, że pod wpływem alkoholu delikwenci nie rozpoznawali książęcego herbu – srebrnej głowy wilka na tle dwóch skrzyżowanych mieczy – będącego moją jedyną formą obrony, kiedy już musiałem interweniować. Na ogół jednak to wystarczało i większość wycofywała się w głąb karczmy, przepraszając. A zdarzało się również, że ten czy inny delikwent porażony świadomością, jak blisko stryczka się znalazł, padał na kolana, płaczliwie błagał o zachowanie swojego „nędznego” życia i obiecywał dożgonną cześć koronie.

– Ejże, przecież miałem go już na tacy! Prawie jadł mi z ręki! Po coś wyskakiwał z tym sygnetem? – zachnął się Colton.

– Prędeż urwałby ci jaja, ty bezmyślny kochasiu! Naprawdę nie mogłeś sobie wybrać innej? Musiałeś uderzać do panny gościa, który zwala dęby samym spojrzeniem?

– Raczej oddechem... Ależ mu waliło z gęby! Rozumiesz? Zwala dęby smrodem z gęby. – Zaczął rechotać.

– Ty się lepiej ciesz, że ciebie nie zwalił! I wierz mi, odór jego oddechu byłby twoim najmniejszym zmartwieniem!

– Dobra, dobra! Obiecuję, że nikomu nie pozwolę mnie zwalić... ani mi... – odparł i zaśmiał się rubaszenie.

– Mówisz tak za każdym razem – westchnąłem i wytargałem go z karczmy, trzymając pod ramię. Ciężko prowadzić kogoś, komu grunt ucieka spod nóg.

– A ty i tak mnie ratujesz...

– Bo jestem głupszy, niż przewiduje królewska ustawa.

Zanim dotarliśmy do wiejskiej studni, przy której pozostawiliśmy przywiązane konie, zaczęło padać. Colton poklepał Boomera, swojego ogiera, a chwilę później pocałował głowę i próbował mi wmówić, że poślizgnął się na mokrej kostce. Akurat. Po prostu nie był przyzwyczajony do tak mocnych trunków. W domu dopiero od niedawna mógł pić czyste wino, nierozcieńczzone wodą. Stryjenka Clarice bardzo dbała o to, by Colton wyrósł na porządnego młodego człowieka.

Gdyby tylko wiedziała, co się działo z jej synem, gdy wychodziliśmy do karczmy...

Jazda i pilnowanie, by zamroczony alkoholem jadący obok człowiek nie spadł z konia i nie skręcił sobie przy okazji karku, okazały się trudne. Niewiele łatwiejsze okazało się również odstawienie go do łóżka. Drugie piętro wydawało się mieścić o wiele za wysoko, a Colton nie chciał współpracować. Najpierw wyslizgnął się z mojego uścisku i padł jak długi w korytarzu, a gdy już zdołałem go postawić do pionu, zarzygał całe schody, które stanowiły ostatnią przeszkodę do pokonania.

– Wasza wysokość pozwoli, że pomogę – powiedziała starsza służąca, która pojawiła się znikąd w towarzystwie nieco młodszej. Ta druga zajęła się sprzątaniami, podczas gdy pierwsza pomogła mi chwycić Coltona.

– Kocham cię – wybełkotał kuzyn w jej stronę. Ta w odpowiedzi zaśmiała się pod nosem.

– Widzę, że księżę miał udany wieczór i zdrowo przeholował, bo nie powiedziałby tego przy krztynie świadomości...

Wszystkie nasze wyjścia z zamku i możliwość pałętania się po królestwie bez specjalnej okazji były możliwe dzięki królowi Tybaldowi – naszemu dziadkowi. Rozpoczął tradycję obcowania rodziny królewskiej z plebem. Miało to na celu „wzmacnianie poczucia wspólnoty” oraz „zyskiwania poparcia i lojalności wobec władzy”. Oczywiście stosowali się do tego wszyscy poza moim ojcem. Do ludzi wychodził tylko wtedy, gdy należało kogoś stracić.

Największą robotę pod względem bratania się z ludem wykonywaliśmy ja i Colton. Wiązało się to jednak z tym, że przy każdym wieczornym wyjściu do karczmy musieliśmy minąć strażników, którzy za swoje milczenie dostawali sakiewkę monet. Mimo rodzinnej tradycji nie powinienem tak po prostu włóczyć się po knajpach wypełnionych po brzegi zachlejmordami, zwłaszcza bez towarzyszącej mi straży.

Co by powiedział ojciec, gdyby się dowiedział, że jego jedyny syn i dziedzic ryzykuje życie? Mogłoby się to skończyć wielogodzinnym kazaniem, a może nawet i chłostą. Albo – co najgorsze – podwójnym kazaniem, gdyby do ojca przyłączyła się matka! *Czasem sama chłosta nie jest taka zła...*

Ojciec był zwolennikiem tego typu kar. Uważał, że kilka batów nikogo nie zabije, za to nauczy posłuszeństwa na tyle skutecznie, by w przyszłości śmiałkowi przez głowę nie przeszła nawet myśl o zrobieniu czegokolwiek, co mogłoby być sprzeczne z rozporządzeniami.

Schodząc piętro niżej, minąłem jedną ze służących. Mimo że szła z nareczem prania, na mój widok przystanęła i lekko dygnęła. Czasami zastanawiałem się, co myślą pracujący tu ludzie, gdy kłaniają się mnie czy Coltonowi. Czy robią to odruchowo i bez zastanowienia, czy też każda taka sytuacja sprawia, że czują się paskudnie, bo muszą okazywać poddaństwo nawet dzieciakom?

– Alecsey... – Usłyszałem swoje imię, zanim zdążyłem zamknąć drzwi do sypialni.

Serce nagle zaczęło mi walić jak młot, jakby chciało wydrzeć się z klatki piersiowej i uciec, gdzie pieprz rośnie.

Nie spodziewałem się matki. Na korytarzu panował półmrok, ale widziałem, że ma na sobie koszulę nocną, na którą narzuciła szlafrok. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Wyglądała na zmęczoną. O tej porze z reguły już odpoczywała i nie wychodziła ze swojej komnaty. Musiała nas usłyszeć, gdy odprowadzałem Coltona, i przyszła skontrolować sytuację.

– Myślałam, że już śpisz. – Podeszła bliżej.

Odgarnęła mi kosmyki, które przykleiły się do twarzy. Po chwili zsunęła dłoń na moje ramię i ścisnęła przemoczony płaszcz.

– Jesteś cały mokry! Gdzie byłeś?

– Na przejażdżce z Mirą. Zaskoczył nas deszcz – odpowiedziałem częściowo zgodnie z prawdą. Gdyby na korytarzu było jaśniej, matka zauważyłaby, że nie mówię całej prawdy. Nie należała do surowych rodziców – wręcz przeciwnie – ale zawsze się obawiałem, że potrafi czytać w moich oczach jak w otwartej księdze. Dlatego gdy w przeszłości zdarzało mi się nabroić, bardzo rzadko kłamałem w obawie, że zdoła mnie przejrzeć.

– Musisz wziąć ciepłą kąpiel, zaraz przekażę to Cynthii. – Już chciała odejść, ale po chwili znów się do mnie odwróciła. – Dobranoc, synku, i nie pij więcej na tych przejażdżkach, bo wyglądasz koszmarnie.

Pogładziła mnie po policzku i odeszła. Te pełne troski gesty sprawiały, że czułem się jak mały chłopiec, którym już od dawna nie byłem. Zapewne sprawiłbym jej przykrość, gdybym o tym powiedział, dlatego cicho na to przyzwalałem. Co znaczy, że chyba jednak nadal byłem małym chłopcem.

Niedługo później zrzuciłem z siebie przemoczone ubrania i zanurzyłem zziębnięte ciało w gorącej wodzie. Sądząc po zapachu unoszącym się

z wody, do kąpieli dodano lawendowego olejku. Rozłożyłem się wygodnie w wannie i rozmyślałem o jutrze. Zaraz po śniadaniu razem z ojcem, jego bratem i kuzynami mieliśmy się udać na polowanie.

Co trzy tygodnie w sobotę ruszaliśmy w piątkę do lasu, by zacieśniać relacje męskiej części rodziny. Ojciec, będący obecnie królem, miał swoje sprawy, nad którymi siedział całymi dniami. Stryj Clayworth, oprócz zajmowania się finansami korony, często wyjeżdżał, by doglądać interesów w różnych częściach Vallandu. Emley – mój starszy kuzyn, a jednocześnie brat Coltona – często mu towarzyszył, przyuczając się, by kiedyś zająć miejsce Claywortha na tym stanowisku.

Właśnie dlatego polowania miały nam pomóc w utrzymaniu dobrych relacji. Nie wiedziałem, jak dokładnie powinno to działać, ponieważ w lesie zazwyczaj wszyscy się rozdzielali.

Nienawidziłem polowań. Stryj i Emley nigdy nie szczędzili mnie i Coltonowi „dobrych rad”, które przeważnie były pięknie opakowanymi drwinami. Każdy ich uśmiech przypominał ukąszenie jadowitej żmii. Dlatego trzymaliśmy się od nich z daleka, co wychodziło nam na dobre.



– Alecsey! Wstawaj, zaraz ruszamy!

Obudziło mnie pukanie oraz znajomy głos dochodzący zza drzwi. Leniwie uniostem powieki i zerknąłem w kierunku okna, za którym ciemność zaczynała poddawać się nadchodzącemu świtowi.

W progu drzwi stanął Colton. Miał na sobie skórzane spodnie, granatową koszulę, a na ramionach czarną pelerynę z kapturem. Nie mogłem wyjść z podziwu, że potrafi wyglądać tak świeżo i nienagannie. Jakby wieczorem wcale nie był schlany jak świnia, która ma problem dotoczyć się do własnej zagrody w chlewie.

– A ty jeszcze niegotowy? Wyglądasz okropnie. Piłeś wczoraj?! – udał obrzydzenie, a ja zapragnąłem mu przywalić.

– Odpuszczam dzisiaj. Nie czekaj na mnie – powiedziałem, nakrywając się kołdrą. Po takim wieczorze jak poprzedni planowałem wstać dopiero na obiad. Albo nawet kolację.

– Chyba sobie drwisz! Rusz swą księżęcą rzyć albo kopnę cię w nią tak mocno, że wylecisz przez okno i od razu wylądujesz w siodle!

– To groźba czy obietnica pieszczot?

– Na pieszczoty trzeba zasłużyć! Czekam na ciebie na dziedzińcu. Jeśli nie będzie cię za pięć minut, powiem Emleyowi, że go podglądałeś w kąpieli! – Zarechotał i wyszedł, a następnie zamknął za sobą drzwi.

Niewyspanie, które nadal dawało o sobie znać, nie ułatwiało porannych czynności. Włożenie spodni, koszuli i ciepłego płaszcza z kapturem zajęło znacznie więcej czasu niż zazwyczaj, dlatego na dziedzińcu musiałem udać się biegiem, co wcale nie poprawiło mi samopoczucia.

Wszyscy już czekali. Colton poklepywał niecierpliwie Boomera po grzbiecie i rozmawiał z Clayworthem, a Emley patrzył na mnie z ukosa. Z kolei mój ojciec szykował już dla mnie kilka „miłych” słów.

– Jakże miło, że jaśnie ksiązę zaszczycił nas swoją obecnością! – powiedział jadowicie, po czym dodał lodowatym tonem: – Jeszcze raz każesz na siebie czekać, a zadbam o to, byś uczył się punktualności od służby, na przykład sprząając przez miesiąc stajnie!

Ojciec był bardzo niecierpliwym człowiekiem. Nie lubił tracić czasu. Zwłaszcza na mnie. Rzadko kiedy mnie chwalił, a zaledwie dwa razy w życiu usłyszałem od niego, że jest ze mnie dumny. Raz, kiedy zupełnym przypadkiem, bawiąc się na dziedzińcu, ustrzeliłem z łuku swojego ulubionego gołębia – ojciec odebrał to jako znak, że dorośleję, ponieważ moje przywiązanie do zwierząt odczytywał jako słabość. „Jak zdołasz w przyszłości skazać na śmierć kogoś patrzącego na ciebie przez łyż, skoro trapi cię śmierć byle gołębia?” – zapytał wówczas. Do drugiego razu doszło, kiedy instynktownie uderzyłem kuchennego parobka, gdy ten zamachnął się pejcem na moją klacz, Mirę. Wówczas ojciec uznał, że może będzie ze mnie władca, który nie pozwoli sobie wejść i narobić na głowę. Choć nadal nie był co do tego przekonany.

Zostałem w tyle, gdy wszyscy ruszyli w stronę lasu. Nawet służba łowcza, poganiana przez ojca, pognąła naprzód.

Podszedłem do białej klaczy i przesunąłem dłonią po jej chrapach. Potem dostała jabłko.

Mirę dostałem na czternaste urodziny. Mójród posiada jedną z najlepszych hodowli koni na kontynencie. Zamiłowanie do tych zwierząt przechodziło z pokolenia na pokolenie, a naszym przodkom udało się wyhodować najznamienitsze hybrydy. Niezwykle wytrzymałe konie pociągowe, pędzące niczym wiatr konie wyścigowe i najwierniejsze rumaki,

które nigdy nie zawodzą swoich jeźdźców. Mój ojciec chciał przewyższyć dokonania dziadka – cieszącego się największymi zasługami na polu hodowli – i stworzyć jeszcze lepszą rasę. Wszystko po to, by ród rósł w siłę, a nasze nazwisko znaczyło coś nie tylko na ziemiach, którymi rządzymy.

Zgodnie z tradycją w dniu czternastych urodzin ojciec zabrał mnie do królewskiej hodowli w Sarros i pozwolił wybrać wymarzonego konia. Udailiśmy się tam pewnego majowego ranka, niedługo przed moimi urodzinami. Pamiętam ten dzień bardzo dobrze, ponieważ pogoda wyjątkowo nie dopisywała. Wiał zimny wiatr, a z brunatnych chmur, sprawiających wrażenie, jakby zaraz miały spaść z nieba, padał rześisty deszcz. Widoczność była kiepska, a w połowie drogi na jednej z wielu dziur złamało się koło w karocy. Wtedy bałem się, że gorzej być nie może i że nigdy nie dotrzemy na miejsce. Kto by pomyślał, że zmiana koła przerośnie pomocnika stan-greta i każdego z sześciu strażników stanowiących naszą straż przednią?

Na miejsce dotarliśmy nie o poranku następnego dnia, jak planowano, lecz późnym popołudniem. Przywitał nas postawny mężczyzna o dość ponurym licu. Sprawiał wrażenie niezbyt przyjemnego, choć jego rysy złagodniały, gdy weszliśmy do zagrody źrebiąt. Znalazł się w swoim żywiole, lecz mimo to nadal wydawał się spięty. Obecność króla tak działała na ludzi, nawet jeżeli byli najlepsi w swoim fachu.

Mężczyzna opowiadał o hodowli i koniach, prezentując je nam z dumą, tak jakby prezentował swoje córki jako kandydatki na żonę. Każdego żrebaka głaskałem i częstowałem jabłkami. Miałem przed sobą trudny wybór. Ojciec stawiał na karego żrebaka z czarną grzywą i prawie dałem mu się przekonać, jednak wówczas ujrzałem Mirę. Klacz nie została nam zaprezentowana, co znaczyło, że coś z nią jest nie tak. Stała obok większej klaczy, tuż za ogrodzeniem. Oznajmiłem wtedy, że chciałbym się jej przyjrzeć z bliska. Pan Telvin zaczął tłumaczyć, że zwierzę kuleje od tygodnia i czekają na hippiatrę. Mimo wszystko nalegałem, by mnie do niej zaprowadził. Okazało się, że Mira jest jednym z pierwszych źrebiąt, które urodziło się w wyniku połączenia dwóch rzadkich ras: *abranax* i *beresh*. Pierwszą ściągnięto dziesiątki lat temu z Vemoin; te konie charakteryzują się wyjątkową smukłością i wytrzymałością. Druga pochodzi z Syltharu – górzystego królestwa na wschodzie. Bereshe z kolei są wyjątkowo szybkie i inteligentne. Pan Telvin dał nowo wyhodowanej rasie nazwę *sarros* – od miejscowości, w której mieściła się hodowla.

Mimo że klacz od razu skradła moje serce, ojciec ani myślał się zgodzić. Twierdził, że ta prawdopodobnie zdechnie jeszcze w drodze do zamku, a on nie ma zamiaru tracić czasu, by wracać po kolejnego konia z powodu chorobliwej słabości swojego syna do wszystkiego, co nic niewarte. Jednak im bardziej był przeciwny, tym większą okazywałem determinację. Już wtedy poczułem jakąś irracjonalną więź z tym zwierzęciem. Może po części z chęci zrobienia ojcu na złość, a może dlatego, że naprawdę było w Mirze coś wyjątkowego.

Gdy klacz na mnie spojrzała, poczułem, jak coś w moim sercu stopniało – to spojrzenie połączyło nas na dobre i na złe. Dostrzegłem w jej oczach siłę i upór. Ona również nie myślała się poddawać, a tym bardziej – jak to powiedział ojciec – „zdechnąć” w drodze do zamku. Było w niej o wiele więcej niż król mógł dostrzec na pierwszy rzut oka. Pod pozorami słabowitości kryło się stworzenie o wielkim harcie ducha, niezłomne i – na przekór całemu światu – wyraźnie chcące udowodnić swoją wartość, nim ktoś pośle ją do rzeźni.

Byliśmy dla siebie stworzeni. Ona musiała być moim koniem, a ja jej jeźdźcem. Nie dopuszczałem innej możliwości.

Gdy zawiodły błagania, odważyłem się na upór. Oznajmiłem ojcu, że nie zdecyduję się na żadnego innego konia, a jeżeli Mira zawiedzie, osobiście się jej pozbędę. Rzecz jasna nie zamierzałem skrzywdzić tego stworzenia, choćby i miało być kulawe przez resztę życia. Wiedziałem jednak, że ojciec bardziej od rozpaczliwych prośb doceni twardy upór i niezłomność. Im bardziej się upierałem, tym cieplej patrzył na mnie ojciec. I w końcu wyraził zgodę.

Cztery lata później wiedziałem, że dokonałem najlepszego wyboru z możliwych.

– Witaj, Miro. Gotowa na kilka godzin udawania, że wcale nie ruszasz mordowanie niewinnych zwierząt?

Klacz potrząsnęła łbem i zjadła jabłko, zanim zdążyłem rozsiaść się w siodle. Chwyciłem wodze i pogalopowaliśmy przez dziedziniec, pozostawiając za sobą echo dźwięku kopyt uderzających o kamienne podłoże.



ROZDZIAŁ 2

Alecsey

Błonia były zasnute mgłą. Uważałem tę część dnia za najpiękniejszą. Las zdawał się budzić z głębokiego snu. Ptaki rozpoczynały poranne koncerty. Miękkie światło wschodzącego słońca wydobywało z pejzażu każdy detal – krople rosy zdobiące trawę, pajęczyny przypominające skrzętnie utkane koronki. Wszystko skąpane w ciepłym, złotym tonie rodzącego się dnia. Nawet wilgoć i chłodny wiatr nie przeszkadzały w rozkoszowaniu się tą cudowną aurą.

Zsiadłem z Miry na skraju łąki i od razu poczułem pod butami podmokłą ściółkę. Przywiązałem klacz do gałęzi i wszedłem między drzewa. Cisza była zakłócana jedynie odgłosami natury – śpiewem ptaków i szelestem liści. Oczy potrzebowały chwili, by przywyknąć do mroku. Ruszyłem powoli z kuszą w dłoni.

Stawiałem kroki ostrożnie, za każdym razem nasłuchując, gdy pod moją stopą łamał się jakiś suchy patyk lub chrzęściły liść.

Czasochłonne polowanie wymagało wiedzy oraz doświadczenia. Trzeba było nauczyć się rozpoznawać ślady konkretnych zwierząt, analizować ich świeżość i zwracać szczególną uwagę na teren – połamane gałązki czy pozostawione odchody lub sierść. Podążanie za śladami bez zdradzania przy tym swojej obecności okazywało się najtrudniejsze i tego nie lubiłem zdecydowanie najbardziej.

Obrałem sobie za cel upolowanie dzika. Zdawałem sobie sprawę, że porywam się z motyką na słońce, ale chciałem spróbować. Najważniejsze było znalezienie ścieżki, którą zazwyczaj poruszają się te zwierzęta, gdy

idą w stronę żerowiska. Miałem nadzieję, że znajdę ją w ciągu godziny, inaczej obawiałem się, że nie starczy mi cierpliwości.

Po pewnym czasie usłyszałem pierwszy podejrzany dźwięk. Rozejrzałem się ostrożnie i zauważyłem niewielkie ślady czterech łap – dwa szeroko rozstawione wyżej i niżej dwa umiejscowione blisko siebie. Musiał to być zając. Nie spodziewałem się, że tropiąc dzika, wpadnę na zająca.

Przez chwilę rozważałem, czy warto zbaczać z trasy, ale pomyślałem, że jeśli nie wyjdzie mi z dzikiem, to chociaż będę miał szaraka.

Bardzo uważnie i powoli ruszyłem tropem zostawionym w grząskim podłożu. Niedaleko polany, pod drzewem, zauważyłem przycupniętego zająca. Nerwowo strzygł uszami i nasłuchiwał, więc przystanąłem i wstrzymałem oddech, by przypadkiem mnie nie usłyszał. Biedny, nie był świadomy zbliżającej się śmierci. Wycelowałem powoli, jak w zwolnionym tempie.

Świst przeciął powietrze tuż obok mnie, zanim zdołałem doliczyć do trzech. Śmiercionośny bełt przebił serce zająca i razem z nim wbił się w drzewo. Od razu dotarło do mnie, że tylko stryj mógł to zrobić. Jeszcze nigdy nie chybił. Jego bełty zawsze trafiały w serca. W dodatku Clayworth potrafił tak bezszelestnie się skradać, że często – w ramach zabawy – zabijał wytropioną przeze mnie zwierzynę. Jak teraz.

– Za długo czekałeś, Alecsey – rzucił, znalazłszy się obok mnie, a ja zerknąłem na jego twarz i bujny, lecz nieco posiwały wąs na niej.

Clayworth był młodszym bratem mojego ojca. To on uczył mnie polować, gdy byłem jeszcze chłystkiem. Król nigdy nie miał do tego cierpliwości, bo oczekiwał szybkich efektów, których nie potrafiłem mu zaofiarować. Stryj przyuczał mnie na prośbę matki.

– Bo Alecsey specjalizuje się w zabijaniu czasu i, jak widać, jest na tym polu bezkonkurencyjny – powiedział Emley ze złośliwym uśmiechem, stając obok swojego ojca. Jego ton był lekki, ale prowokacyjny.

Starszy kuzyn w sprzeczkach odnajdywał trudną do zdefiniowania przyjemność. Zwłaszcza gdy to ja byłem jego kompanem do tego typu „zabawy”. Wchodziłem w te pyskówki, licząc na utarcie mu nosa. Niestety nigdy nie dorównywałem mu w zręcznym kąsaniu słowem. Nasza relacja była skomplikowana. Rzadko dochodziło między nami do normalnej wymiany zdań. Wszystko zaczęło się, gdy jego ojciec wziął mnie pod swoje skrzydła, usilnie starając się spełnić obietnicę złożoną mojej matce. Być może Emley poczuł się wtedy odrzucony, bo Clayworth zamiast na nim

skupił się na mnie. Zauważyłem wówczas, że wszystko, co robił, starał się robić lepiej i szybciej ode mnie. Był z powrotem zwrócić na siebie uwagę ojca i udowodnić swoją lepszość.

Celowo zostawili zająca, by mnie upokorzyć i pokazać, że nie dorastam im do pięt. Za długo się zastanawiałem, to był mój błąd, a oni to skrzętnie wykorzystali.

Bełt stryja mocno wbił się w pień drzewa. Musiałem się nieco namęczyć, zanim wyciągnąłem go z truchła zwierzęcia. W końcu chwyciłem szaraka za skoki i wrzuciłem do jutowego worka. Nie mogłem go zostawić. Z szacunku do samego jego istnienia – nie chciałem, by jego śmierć poszła na marne.

Miałem z zającem coś wspólnego. Byłem w mojej historii dokładnie tym, czym zając w czasie polowania. Ktoś wybrał odpowiedni moment, wycelował i oddał strzał.

Jeszcze kilka tygodni temu myślałem, że mam nieco więcej do powiedzenia – ojciec jednak szybko wyprowadził mnie z tego błędu. „Nie jesteś byle kim, tylko następcą tronu. Masz pewne obowiązki wobec swojego kraju. Nie zapominaj o tym” – powiedział, gdy ośmieliłem się okazać swoje niezadowolenie podczas jednego z zebrań rady królewskiej.

Jedną z rzeczy, którą zapamiętałem z tamtego dnia, były współczujące spojrzenia Emleya i stryja, gdy okazało się, że mam wziąć polityczny ślub. Po zebraniu ten drugi wyznał mi, że przypomina mu to przykrą sytuację sprzed lat. Anselma, nieżyjącego już ich młodszego brata, miało spotkać to samo. Ale w odróżnieniu ode mnie był szalenie zakochany w zupełnie innej kobiecie. Niestety odszedł, zanim do czegokolwiek doszło.

Obaj zostaliśmy pozbawieni możliwości decydowania o sobie. Choć zdecydowanie Anselm stracił więcej, skoro jego serce już do kogoś należało.

– Masz już coś? – zapytał Colton, który zjawił się chwilę później. *Czy wszyscy uparli się iść tą samą ścieżką co ja?* – Ja mam bażanta. Dorwałem go zaraz po wejściu do lasu.

– Tylko zająca. Twój ojciec go ustrzelił.

– Strzelił, zostawił i jeszcze zrobił z tego kazanie bez słów. Typowe.

– Chodźmy dalej razem – zaproponowałem, pozostawiając bez komentarza trafną ocenę zachowania stryja.

Brałem udział w polowaniach nie tylko ze względu na rodzinną tradycję, lecz także po to, by zyskać w oczach ojca. A przynajmniej na to liczyłem.

Wystarczyło, że podczas spotkań rady zbyt rzadko zabierałem głos, a gdy już mówiłem, raczej zbywano to milczeniem. Co innego Emley, którego opinie były brane pod uwagę przez radę. I nie, nie miało znaczenia, że wypowiadał się sensownie. Obserwowanie go przychodziło mi z trudem. Idealny syn i członek rodu Rossów.

Szliśmy jakiś czas, rozglądając się i nasłuchując, choć ciężko było się skupić. Zbyt wiele myśli odrywało moją uwagę od polowania. A gdyby ktoś pozwolił mi przymknąć oko choć na chwilę, od razu bym zasnął.

Zaciskając dłonie na kuszy, wskazałem kuzynowi rozgrzebaną ściółkę, a obok głębokie odciski racic. Powolnym krokiem ruszyliśmy ich śladem. Colton dotrzymywał mi kroku, milczący i czujny.

W oddali zamajaczył niewyraźny cień. Rozejrzałem się też za resztą watahy. Nieopodal zauważyłem kilka większych dzików i całe stado młodych.

– Na co czekasz? Strzelaj – szepnął Colton.

Zamiast strzelić, wyprostowałem się i oparłem kuszę na ramieniu. Zazwyczaj starałem się nie zabijać ani zbyt młodych, ani zbyt starych osobników. Młodych było mi żal, a mięso starych okazywało się zbyt twarde i łykowate.

– Nie zauważyłem żadnego odpowiedniego. Szkoda młodych...

Colton westchnął – najwyraźniej chciał po prostu coś ustrzelić i mieć to z głowy. Ruszyliśmy na lewo okrężną drogą. Miałem nadzieję, że zwierzęta się rozdzieliły i tam znajdzie się jakiś wciąż młody osobnik, ale niebędący już warchlakiem.

– Kolejne ślady – szepnąłem w końcu, wskazując ponownie na zagłębienia w błotnistym podłożu.

Colton, milcząc, poszedł za mną i jednocześnie przygotował broń. Nie miał takiego doświadczenia jak ja, ale najwyraźniej czerpał przyjemność z samego towarzystwa. Poniekąd przejąłem rolę nauczyciela, a Colton był całkiem pojętym uczniem. O ile miał na to ochotę.

– Celujesz tuż za przednim biegiem... tak na jednej trzeciej wysokości ciała, od dołu. Pamiętasz? Bierz tego po lewej – wymamrotałem, patrząc na dwa osobniki ryjące w podmokłej ściółce. Przyklęknałem i oparłem łokieć na kolanie. Wyteżyłem wzrok, starając się precyzyjnie wycelować w miejsce tuż za przednią nogą dzika. Poza chrupkaniem zwierząt nie słyszałem zupełnie niczego.

Obaj wstrzymaliśmy oddechy. Trafienie w punkt było trudne i wymagało stabilnej ręki, a ja czułem, że dłonie lekko mi drżą. Mimo to wypuściłem bełt, licząc na łut szczęścia. Przeleciał pod brzuchem wieprzka, plosząc obie sztuki. Donośny kwik dzika, do którego celował Colton, dał nam do zrozumienia, że zwierzę zostało trafione – chyba nawet w szyję. Wiedzieliśmy jednak, że trzeba będzie je dobić. A to nigdy nie było ani łatwe, ani bezpieczne.

– Niech to szlag! – warknął kuzyn, kopiąc wystający spróchniały pień.

Powinienem być poczekać, aż ręka przestanie mi drżeć, ale chyba sam już miałem dość i chciałem jak najszybciej wracać do zamku. Jak widać, pośpiech nie popłaca.

– Chodźmy po niego – zdecydowałem. – Razem powinniśmy dać mu radę.

– Nie... sam pójdę. W końcu to mój dzik.

– Colton, oszalałeś? To głupi pomysł – szepnąłem.

– Oberwał w szyję. Zanim do niego dotrę, pewnie sam już padnie.

– Obiecuj mi, że zostawisz go, jeśli będzie żywy. Najwyżej przyślemy kogoś ze służby łowczej, żeby go znalazł i dobił.

– Jasne – odparł niezbyt zadowolony. Czułem, że odpowiedział mi tak na odczepnego. Nie zamierzał posłuchać, więc musiałem wymusić na nim obietnicę. Colton nigdy nie łamał danego słowa.

– Nie chcę cię mieć na sumieniu – zacząłem.

– Obiecuję, dobra? – burknął.

Westchnął głęboko i ruszył bez słowa, kierując się krwawym tropem. Gdy oddalił się wystarczająco daleko, zakląłem głośno i uderzyłem pięścią w drzewo. Chodziłem tam i z powrotem, próbując rozmasować obolałą rękę. Nie był to najlepszy sposób na rozładowanie złości gromadzącej się od samego świtu.

Usiadłem na powalonym drzewie i odłożyłem kuszę obok. Miałem dość. To ewidentnie nie był mój dzień na polowanie. Najpierw zając, teraz dzik. Może powinienem, jak Colton, przyczać się na jakiegoś bażanta na skraju lasu. Nie wróciłbym wtedy z pustymi rękami.

– Nie zrobiłeś sobie krzywdy, książę? Może podać ci pomocną dłoń?

Odwrociłem się w stronę, z której dochodził głos.

Stała oparta o drzewo. Długie, miedziane włosy miała zaplecione w gruby warkocz sięgający niemal do pasa. Nigdy nie lubiła ubierać się jak kobieta. Suknię zamieniła na skórzane spodnie, kamizelkę i błękitną koszulę

z szerokim rękawem. W ręce trzymała nóż, którym nonszalancko oskubywała korę z drzewa. Na jej twarzy błąkał się łobuzerski uśmieszek. Lubiła się ze mną drażnić, odkąd się dowiedziała, że jest pierwszą dziewczyną, z którą się całowałem.

– Nie powinno cię tutaj być, Kiano. – Podniosłem się i podszedłem bliżej. Nie chciałem, by ktoś nas usłyszał. Dziewczyna stała jednak niewzruszona.

– Wiem, wiem... ale jestem. I co mi zrobisz? – zapytała, patrząc na mnie z kpiącym uśmieszkiem. Wiedziała, że nic nie zrobię. Nasza znajomość przeszła już na taki poziom, że po prostu n i e m o g ł e m nic zrobić. Dla niej nie byłem księciem koronnym, tylko Alecseyem. Alecsem. Pozostawało mi liczyć jedynie na jej litość. – Ale masz minę. Nie martw się, Alecs. Poza nami nie ma tu nikogo – powiedziała, muskając mój passek od kołczanu.

Spinałem się za każdym razem, gdy się do mnie zbliżała. Miałem do niej słabość i lubiłem, gdy była blisko. Ona z kolei podchodziła do życia luźno, a już na pewno do relacji damsko-męskich. Traktowała je z przy-mrużeniem oka, raczej jako formę zabawy czy chwilową zachciankę. Dlatego z taką łatwością ze mną flirtowała. Bawiły ją moje reakcje.

I choć plułem sobie w brodę, że nie potrafię się jej oprzeć i zachowuję się przy niej jak podłotek, nic nie mogłem poradzić na to, że jej spojrzenie mnie hipnotyzowało. Gdy patrzyłem w jej oczy, od razu myślałem o dotyku jej gorących, miękkich warg. O ciepłym oddechu mieszającym się z moim własnym. O parzącym dotyku...

– O czym myślisz? O czymś przyjemnym?

– Zgadnij – odparłem, spoglądając na nią wyzywająco.

Miała śliczne, zielone oczy otoczone wachlarzem ciemnych rzęs. Można było w nich utonąć. Przez chwilę przyglądała mi się badawczo – jakby naprawdę chciała odgadnąć, co dzieje się w mojej głowie. Pewnie sądziła, że jest w stanie mnie odczytać jak zapiski w starej księdze.

– Pewnie znowu wkradłam się do twoich myśli... bardzo niegrzecznych myśli – wymruczała zmysłowym tonem.

– I co z tym zrobimy? – zapytałem zawadiacko. Czy zdecyduje się ciągnąć rozmowę w tym kierunku, a może spróbuje zmienić temat?

– Może pozwolimy im jeszcze chwilę podryfować? – Niby przypadkiem dotknęła mojej dłoni. Przygryzła lekko wargę, przyglądając mi się

uważnie. Znałem stałe elementy jej gry, ale w tej chwili coś mnie martwiło. Musiałem to skończyć. Tutaj nie była bezpieczna.

– Co się stało, że tu jesteś? Coś z Damarem? – zapytałem w końcu, bo Kiana rzadko zapuszczała się do królewskiego lasu, do którego nie mógł wejść nikt poza moją rodziną i zaproszonymi gośćmi. Wtargnięcie karane było chłostą, a kłusownictwo stryczkiem. Prosta matematyka.

– Gdzież tam znowu. Mój braciszek jest cały i zdrowy. Po prostu dawno nikt nie wyznawał mi miłości...

– Musimy do tego wracać? – zapytałem zrezygnowany, odwracając od niej mimowolnie wzrok.

Tamtego wieczora piwo wchodziło mi wyjątkowo dobrze. Kiana nigdy tego nie przyznała, a wręcz temu zaprzeczała, ale wtedy oboje poczuliśmy chemię. Rozmowa szła nam gładko i nie mogliśmy oderwać od siebie oczu. Kiedy w końcu odważyłem się ją pocałować, odwzajemniła pocałunek, a ja poczułem, że to coś autentycznego, a nie zwykły pijacki wybryk. Gdy się od siebie oderwaliśmy, bezwiednie wypaliłem, że ją kocham, choć to nie była prawda. Wtedy uznałem, że po czymś takim właśnie to wypada powiedzieć. Nie wiem, skąd ta idiotyczna myśl wzięła się w mojej głowie. Dziewczyna najpierw zrobiła duże oczy, po czym wybuchnęła śmiechem i zapewniła mnie, że nie pozwoli mi o tym zapomnieć. Dzisiaj kolejny raz wypomniała mi tamtą sytuację.

– Obiecałam ci to, Aleks.

– Kiana, przestań go stresować! Bo się nam książę przekręci z zażenowania – prychnął nieco starszy od niej chłopak, a właściwie mężczyzna, który nagle pojawił się obok nas.

Damar był starszy ode mnie o pięć lat. Brodę i włosy miał tak samo rude jak kosmyki Kiany. Po jego skroniach spływały kropelki potu. Zmęczony się poranną przebieżką czy raczej kłusownictwem w królewskim lesie? Wiedziałem, że się tego dopuszczał, i za każdym razem ostrzegałem go i zapewniałem, że gdy zostanie złapany, nic nie będę mógł zrobić. Ale nigdy mnie nie słuchał.

– Dobra, już dobra. – Kiana przewróciła oczami i nieco spoważniała, choć w jej głosie nadal dało się słyszeć flirciarski ton. Była niepoprawna. – Przyszliśmy cię ostrzec, mój k s i ą ż ę . Ostrzec przed wydarzeniami, do których przygotowania już trwają. Nic nie zdoła ich zatrzymać... Wydarzeniami, które mogą sprawić, że dzień twoich zaręczyn... – Zawahała

się. – Ten dzień może być naprawdę gorący nie tylko z powodu ognistych uczuć i buchającej namiętności...

Patrzyłem na nią otępiały. *O czym ona bredzi?* Minęła chwila, zanim zdołałem wyartykułować pierwsze pytanie, a gdy tylko je zadałem, zrozumiałem, że nie było ono najlepsze.

– Co ty pieprzysz?

Kiana wbiła we mnie płomienne spojrzenie.

– Poprawnie należałoby zapytać „kogo”, ponieważ nie gustuję w martwych narzędziach. Zdecydowanie preferuję ciepło dotyku i...

– Kiana, do cholery! – zgromił ją Damar. – Obiecałaś mi, że darujesz sobie te wygłupy! To poważna sprawa.

Przewróciła oczami.

– Oho, widać, że ktoś tu jednak gustuje w martwych przedmiotach i zapomniał wyjąć kij z tyłka. Powtarzałam ci wiele razy, że to niezdrowe i...

Umilkła pod miażdżącym spojrzeniem brata. Wyraźnie niezadowolona, że psuje się jej zabawę, odetchnęła teatralnie i zaczęła na nowo:

– Są ludzie, którym zależy, żebyś wiedział, że niebawem wydarzy się coś ważnego – powiedziała rzeczowym tonem i zauważywszy, że zamierzam zadać kolejne pytanie, rzuciła tylko: – Nie mogę powiedzieć, kto ani dlaczego. Nie musisz tego wiedzieć. Wiedz tylko, że w pewnym momencie zrobi się gorąco. I tyle.

Nie podobało mi się, że powiedziała to tak, jakby chodziło o odwołanie popołudniowej drzemki. Bardziej interesowało mnie, co miała na myśli.

– Możesz przestać mówić zagadkami? – Rozejrzałem się nerwowo. Niepokoiła mnie ich obecność, a właściwie myśl o tym, co zrobi ojciec, gdy ich tu ze mną nakryje.

Uświadomiłem sobie nagle, jak mocno ściskam rękojeść kuszy.

– Oczywiście, książę... Już niemal zapomniałam, że ty lubisz prosto z mostu...

– Kiana! – warknął Damar, sztyletując siostrę wzrokiem, i ku mojemu zdumieniu sam postanowił rzucić trochę światła na rozpoczęty przez nią temat. – Krążą pogłoski o pewnych planach, które mogą nieco zaburzyć przebieg zaręczyn. Które mogą sprawić, że krew nie tylko będzie szybciej krążyć w żyłach, lecz także zrosi pałacowe posadzki.

– Gdybyśmy mieli zwracać uwagę na każdą pogłoskę, już dawno siedzielibyśmy zamknięci na zamku, by chronić się przed obłąčeniem, które nigdy nie nadchodzi – odparłem trochę zrezygnowany.

Ta informacja nie była niczym wyjątkowym. Wyróżniało ją tylko to, że dotyczyła balu zaręczynowego. Każdego tygodnia ktoś groził koronie, dając upust swojej złości. Wielu ludzi miało nam coś do zarzucenia. To przecież normalne. Wpisany w ludzką egzystencję sprzeciw wobec władzy. Jaka by ona nie była.

– Nie zawracalibyśmy ci głowy, gdyby chodziło o kolejne pijackie pogrozki wygłaszane pod wpływem chwili.

– Szykuje się coś dużego, Alecs... Niedługo wszystko się zmieni i tylko od ciebie będzie zależało, dokąd to nas zaprowadzi. Może będziesz musiał wybrać, po czyjej jesteś stronie – dodała Kiana, spoglądając na mnie poważnie, a ja zrozumiałem, że nie żartuje. Nigdy nie patrzyła na mnie w ten sposób. Figlarne iskry zniknęły z jej oczu, a głos był boleśnie rzeczowy i pozbawiony flirciarskiej nuty.

– Po czyjej stronie? – powtórzyłem zdezorientowany. – Możecie traktować mnie poważnie, a nie jak dziecko?

– Ależ traktujemy poważnie i mamy nadzieję, że wybierzesz dobrze, bo mogą polecieć głowy. Dosłownie. A naprawdę szkoda byłoby mi twojej...

– Czyżby? – Spojrzałem na nią z ukosa.

Choć życzyłbym sobie postąpić zgodnie z powagą chwili i ostrzeżenia, za bardzo ciągnęło mnie do tej dziewczyny i ochota poddania się jej zabarwionym pikanterią gierkom była zbyt dominująca. Liczyłem jedynie, że moje zainteresowanie tymi gierkami pozostanie niezauważone przez Kianę i Damara, dlatego oparłem się o pień i skrzyżowałem nogi. Najwyraźniej moje założenie, że zachowuję się naturalnie, okazało się błędne, ponieważ dziewczyna przesunęła wzrokiem po wiadomym miejscu i ewidentnie zauważywszy to, co starałem się przed nią ukryć, uśmiechnęła się lekko, po czym niemal wyszeptała:

– Oczywiście, że nie chciałbym, byś stracił głowę, Alecsey... Bo bardzo pochlebia mi twoje zainteresowanie mną... I może liczę na to, że kiedyś zasmakuję pełni książęcego oddania? Oczywiście zanim przepadniesz dla swojej nowej lubej. – W jej głosie znowu dało się słyszeć tę zawadiacką nutę. Kiana była nieokiełznana. Brała życie garściami, nie patrząc na to,

co pomyślą inni. Potrafiła wykorzystać moją słabość do niej i sprawić, że poważny temat schodził na dalszy plan.

– Nie wiem, czy będzie okazja, skoro tak ze mną pogrywasz. Chyba że ładnie przeprosisz – powiedziałem, dając się wciągnąć w tę grę. Damar z kolei wyglądał na zniecierpliwionego.

– Ani nie przeproszę, ani nie poproszę, Alecsey... Przecież to wiesz. Ja po prostu wezmę, co będę chciała i jak będę chciała.

– Kiano, przestań się z nim drażnić. Temat jest poważny, a ty zachowujesz się, jakbyś chciała przyszpilić naszego księcia do drzewa i wykorzystać tu i teraz!

– A jeśli tak właśnie jest, to co? Zazdrościsz mu i żałujesz, że sam jesteś moim bratem i nie możesz liczyć na podobne względy? – Damar chyba chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie się poddał. Nawet on musiał być świadomy, że z siostrą nie wygra. Tymczasem Kiana zbliżyła się do mnie i pogładziła mnie po policzku. – Do zobaczenia wkrótce. – Uniosła się, jakby chciała mnie pocałować, ale ostatecznie cmoknęła mnie tylko w policzek. Chwilę później zniknęła za drzewami. Przez całe moje ciało przeszedł przyjemny dreszcz, lecz zniknął, gdy zobaczyłem zażenowaną minę Damara.

– Że też dajesz się jej tak traktować. Żałosne, Alecsey – skwitował zdegustowany. – Za tamtym drzewem znajdziesz niespodziankę. Do zobaczenia – dodał i wskazał mi kierunek, a potem odszedł, pozostawiając mnie bez wyjaśnień.

Co miał na myśli, mówiąc o niespodziance? Był chyba ostatnią osobą, którą mógłbym podejrzewać o tak czuły gest – nawet w stosunku do Kiany. Dotarło do mnie, że to nie musiało być nic przyjemnego. Ruszyłem w stronę wskazanego drzewa, czując, jak żołądek znowu mi się skręca ze stresu.

Niespodzianka faktycznie okazała się zaskakująca.

Przeglądałem się średniej wielkości losze, która leżała martwa tuż u moich stóp. Zastanawiałem się, czy to nie ten sam zwierzak, którego udało mi się przestraszyć. W jej sercu tkwił bełt. Nie należał do mnie. Był dowodem przestępstwa, które musiałem zatuszować. Dowodem, że ktoś poza rodziną królewską polował w tym lesie.

Mogłem odpuścić sobie dalsze polowanie, jako że dzik był wspaniały. Nie zamierzałem go zostawić, bo wiedziałem, że zrobi wrażenie.

Zakopałem bełt pod jednym z drzew i wróciłem po zostawioną na skraju lasu Mirę. Zarzuciła łbem, kiedy mnie ujrzała. Nie cieszyłaby się tak, gdyby wiedziała, do czego jej potrzebowałem.

Jeden koniec liny przywiązałem do jej siodła, a drugim obwiązałem biegi dzika. Prowadząc klacz za uzdę, wyszedłem z lasu. Było mi żal Miry, że musi ciągnąć taki ciężar, ale bez niej nie dałbym rady. Gdybym przyważył gdzieś służbę łowczą, oboje mielibyśmy już wolne.

Wyszliśmy na polanę; słońce przyjemnie grzało, a ptaki pięknie śpiewały. Odwiązałem linę od siodła i nagrodziłem Mirę jabłkiem. Spisała się, więc musiała zostać doceniona. Wyciągnąłem z juków rozcieńczone wodą piwo i suszone mięso. Z tego wszystkiego nieco zgłodniałem. Nie wiedziałem też, jak długo będę musiał czekać na całą resztę.

Jakiś czas później z lasu wyłonił się ojciec, a zaraz za nim służba łowcza niosąca na noszach jelenia z imponującym, wielkim porożem. Już współczułem matce, która przez następne dni będzie słuchać, jakim doskonałym myśliwym jest jej mąż. Caldwell będzie się chełpił, dopóki matka nie wytrzyma i nie powie mu, że ma się zamknąć. Oczywiście nikt poza nią nie mógłby sobie na to pozwolić. Wszyscy się bali. Włącznie ze mną.

Ciekawe, w której komnacie zawisnie to imponujące poroże.

– Piękny... – powiedziałem, gdy zwierzę zostało umieszczone na powozie. Pochwaliłem jelenia bez zbytniego entuzjazmu, by ojciec nie uznał tego za szyderstwo.

Podszedłem i niepewnie dotknąłem wieńca, zachwycając się jego majestatem. Naprawdę robił wrażenie.

– Będzie wspaniałą ozdobą komnaty jadalnianej.

Ojciec sprawiał wrażenie, jakby znacznie urosł. Jak każdy myśliwy lubił być chwalony za upolowaną zwierzynę. Nigdy nie zadowalał się byle czym. Zawsze musiał się popisać. Jakby chciał pokazać wszystkim, kto tu naprawdę rządzi. Nawet w lesie.

– Może to jeszcze do ciebie nie dotarło, ale polowanie wymaga czegoś więcej niż tylko obecności. Dzik jest w porządku, ale nie zachwyca. Może zaangażowałbyś się bardziej, gdybyś nie obijał się całymi dniami z Coltonem.

Kiwnąłem bezwiednie głową, choć wiedziałem, że nigdy nie będę mógł włożyć w polowanie tyle pasji co ojciec. Wołałem spędzać czas na studio-

waniu map, czytaniu czy właśnie eksplorowaniu królestwa z młodszym kuzynem. Jedyłą rzeczą, do której mogłem się przed ojcem otwarcie przyznać, było – oczywiście – odczytywanie map. Uważał, że dobry władca musi mieć rozeznanie w terenie i topografii. I nie miał na myśli tylko swojego królestwa, lecz także sąsiednie ziemie: znajdujący się na północnym-wschodzie Duryon, leżący na północy Artonn i graniczący z nami od zachodu, tuż za górami, Sylthar. Kiedyś zasugerował, bym zaznajomił się także z mapami Vemoin, choć znajdowało się daleko na południe, za Morzem Arryńskim. „W razie wojny trzeba wiedzieć, jaką obrać taktykę, by nie oddać pola wrogowi” – powiedział.

Po niecałej godzinie zjawił się Colton z zakrwawionym dzikiem, a wkrótce po nim stryj z kolejnym i Emley z młodą sarną.

Kuzyn wydawał się z siebie dumny, ale gdy spojrzał na zwierzę leżące u moich stóp, wyraz zadowolenia natychmiast spelzł z jego twarzy. Przez chwilę poczułem satysfakcję, ale zaraz potem wstyd, bo przecież locha nie padła z mojej ręki. Ale mimo to miło było patrzeć, jak Emley nazbyt długo szuka odpowiednich słów, by mi dogryźć.

– Jestem pod wrażeniem – odezwał się w końcu, podchodząc bliżej. Kucnął i przyjrzał się ranie, która pozostała po bełcie. – Czyżby leśne skrzaty go za ciebie upolowały? Czy dzik pod wpływem twojego uroku osobistego sam nadział się na twe ostrze?

Poczułem w żołądku nieprzyjemne zimno. Emley w bardzo łatwy sposób dopatrywał się ingerencji kogoś obcego. A może tylko zaryzykował takie stwierdzenie i czekał na moją reakcję. Miałem nadzieję, że nie będzie drażył. I dlatego w ogóle mu nie odpowiedziałem.

– Wracajmy – powiedział wreszcie król, dosiadając swojego ogiera.

Trzymaliśmy się z Coltonem nieco z tyłu, by swobodnie rozmawiać. Kuzyn relacjonował po kolei, jak ścigał ranne zwierzę. Głos miał ożywiony, ale nie zazdrościłem mu ani trochę, bo z tego, co mówił, cała akcja była bardzo krwawa, a zwierzę cierpiało.

Słuchałem go uważnie, co jakiś czas zadając pytania, by samemu nie musieć opowiadać o swoim polowaniu. Źle bym się czuł, gdybym musiał okłamać i jego. Colton nie wiedział nic o mojej znajomości z Damarem i Kianą i na razie chciałem, by tak zostało.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

OBOWIĄZEK PONAD MIŁOŚCIĄ, A MOŻE MIŁOŚĆ PONAD OBOWIĄZKIEM?

Młody książę Alecsey, przyszły władca królestwa Valland, ceni własną niezależność i lubi się bawić. Wcale go nie cieszy perspektywa poślubienia nieznajomej księżniczki z sąsiedniego kraju. Niestety, tego właśnie życzy sobie jego ojciec, despotyczny król Caldwell.

Księżniczka Leanne z Artonn patrzy na świat trzeźwo i gotowa jest spełnić swoją powinność. Jej zagrożony zbrojnym najazdem kraj może uratować jedynie sojusz z silniejszym Vallandem. Sojusz przypieczętowany małżeństwem z dziedzicem sąsiedniego królestwa.

Alecsey i Leanne, choć się nie kochają, zamierzają wypełnić wolę rodziców. Tylko czy ich młode serca i umysły oprą się pokusie wolności? I co wspólnie odkryją w cieniu korony?

PATRONI MEDIALNI:

O P O W I E M



beyA 16+
beyA.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-3554-9



9 788328 935549

cena: 54,90 zł